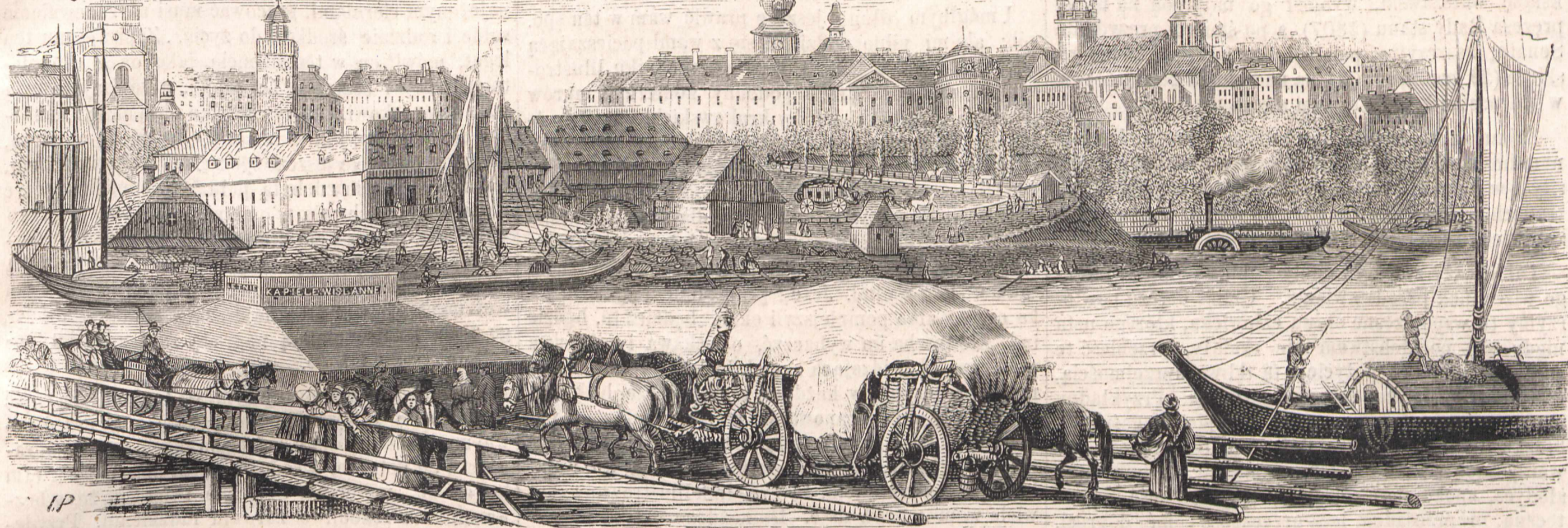


TYGODNIK ILLUSTRACYJNY



№ 51.

Prenumerata w Warszawie rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2, miesięcznie kop. 67½.

Warszawa, $\frac{3}{15}$ września 1860.

Cena pojedynczego numeru kop. 20.

Prenumerata na prowincyi i w cesarstwie rocznie rsr. 12, półrocz. rsr. 6, kwartalnie rsr. 3 — Koperta oddzielna 2 rs. rocznie.

TOM II.

TREŚĆ NUMERU.

Ludwik Gutakowski (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Komunikacye, przemysł i handel. — Wystawa rolnicza w Lublinie (z dwoma drzeworytami). — Odsiecz Wiednia. — Dopelnienie życiorysu Edmunda Wasilewskiego. — Gospodarz-poeta, według pomysłu L. Kunickiego (z pięciu drzeworytami). — Szachy i rebus.

Ludwik Gutakowski.

Pomiędzy ludźmi wielkiej zasługi w kraju, którzy czynny a zawsze chlubny brali udział w wypadkach dziejowych od końca panowania Augusta III, aż do schyłku prawie księstwa warszawskiego, czyli w przeciągu lat siedmiesięciu, co były świadkami tylu zdarzeń kończących wiek zeszyły, a rozpoczynających następnego, celniejsze zajmował miejsce Ludwik Gutakowski, o którym poetycznie wyraził się w języku dawnych Rzymian pewien zagraniczny pisarz że: *życzyłby sobie żyć z żyjącym, a umrzeć z umartym*. Był to w całym znaczeniu cnotliwy obywatel, przywiązany do kraju mąż stanu, dostojnik wysokich zalet; zostawił też po sobie najpiękniejsze imię, które mamy sobie za obowiązek przypomnieć potomności.

Urodzony z zacnej rodziny w w. ks. litewskim w powiecie orszańskim d. 28 października 1738 roku, pierwszą swą młodość strawił na dworze Augusta III, od którego, mając zaledwie 25 lat życia, mianowany był szambelanem (12 września 1763). Dalej, jakie w owych czasach można było świadczyć usługi publiczne, odbył je wszyskieniemiskazitelnie. Po dwakroć deputowany na trybunał w. ks. litewskiego z województw: witebskiego (1766) i smoleńskiego, następnie podkomorzy królewski, obrany był większością głosów ze stanu rycerskiego na sejmie 1767 r. assessorem do sądów zadwornych przy wielkim kanclerzu i podkanclerzu, oraz dygnitarzach prawem naznaczonych, a spełniał ten urząd z taką pilnością i sprawiedliwością, iż odtąd prawie do wszyst-

kich spraw publicznych był wzywany. W r. 1773 wyznaczony od sejmu kommissarzem do głośnej sprawy Brzozowskich w powiecie kowieńskim, złożył dobrowolnie tę godność w r. 1776 w ręce rady nieustającej, otrzymawszy od króla w nagrodę swych zasług bogate starostwo kapinoskie w ziemi sochaczewskiej, które objął po Franciszku Ksawerym Branickim (8 lu-

tego 1777 r.). W następnym roku widzimy go członkiem Rady nieustającej przy boku królewskim ustanowionej, zasiadającego obok najznakomitszych dostojników, gdzie z równą czynnością zajął się sprawami państwa, obstając wszędzie za słusnością i dobrem ogółu. Umiał też niebawem zyskać powszechne zaufanie, gdy już w październiku 1779 r. obrano go marszałkiem téjże rady, gdzie zastępował przez rok cały znanego w historii Ignacego Potockiego, który przed nim a następnie po nim toż samo miejsce zajmował. Protokoły téj najwyższej magistratury w kraju, dotąd w archiwum głównym królestwa przechowane, obejmują liczne i wymowne dowody tak niezamordowanej pracy Gutakowskiego, jako też szlachetnych myśli i najlepszych jego zamiarów, które przeprowadzić się starał. Jednocześnie był także członkiem nowoutworzonej kommissyi edukacyjnej, w której światłem i bezstronnością się odznaczał.

Nadszedł sejm czteroletni. Gutakowski, poseł z powiatu orszańskiego, przez cały ciąg tegoż występując, po wielokroć jasną i przekonującą wymową bił na zadawnione przesady, radził i wspierał to wszystko, co tylko do dobra kraju dążyć mogło. Król wiecznowu wyniósł go na urząd podkomorzego w. ks. litewskiego (13 stycznia 1792). Rok 1794 zastał Gutakowskiego w ciągłym urzędowaniu; był on wtedy prezesem deputacyi lazaretowej, w której przykładnie i pracowicie, idąc za popędem swego serca, sprawie ludzkości i miłosierdziu niemałe oddał usługi. Z rozwiązaniem dawnego stanu rzeczy, usunął się w zacisze domowe, gdzie na łonie przywiązanej doń rodziny kilkanaście lat spędziwszy, oddawał się nauce gospodarstwa i poprawie bytu swoich włościan, gromadząc w około siebie licznych przyjaciół, dla których był przykładem, a w potrzebie doradcą i opiekunem.

Dopiero rok 1806 wyprowadził go z tamtąd na widownią, już wprawdzie złamanego wiekiem i nieszczęściami



LUDWIK GUTAKOWSKI. (Podług portretu Bacciarellego.)

kraju, ale zawsze gotowego do poświęceń i chętnego do służby publicznej. Czcią ogólną i dobrą opinią zalecony, wszedł też na pierwsze urzędy, jakie po usunięciu rządu pruskiego były ustanowione. Jakoż gdy na miejsce kamery i regencji utworzoną została najwyższa izba wojenna i administracyjna, książę Murat mianował Gutakowskiego prezydującym w tejże izbie (1806 r.); po utworzeniu zaś władzy naczelnej, której nadano nazwisko Kommissyi rządzącej, król saski, jako książę warszawski, wyniósł go najprzód na urząd prezesa Rady stanu (1807), a po śmierci prezydenta Senatu, zaszczytnej pamięci Stanisława Małachowskiego (29 grudnia 1809), na naczelnym dostojęństwie w pierwszym krześle senatu swego umieścił.

Zajmując to ważne stanowisko w kraju obarczonym licznymi potrzebami, Gutakowski pracował nad siłą i w dniu 1 grudnia 1811 r., po kilkogodzinnych trudach w senacie wróciwszy do domu, zasnął snem sprawiedliwego.

Takie były zasługi i cnoty publiczne męża, którego wizerunek przedstawiamy. Umiał on, że powtórzymy tu współczesne słowa człowieka, którego usta nigdy się pochlebstwem nie skalają, przenieść te cnoty w domowe pożycie z tą tkliwą uprzejmością, która jest tylko serc dobrych udziałem. Przykładowy mąż, najlepszy ojciec, stały przyjaciel, gościnny, ludzki, uprzejmy. Widziałeś w nim te znamiona, towarzyszące zawsze czystemu sumieniu: nieprzerwaną słodycz, spokojność, wesołość, tę grzeczność nie potoczną, nie przesadną, lecz grzeczność samej dobroci. Skromny względem siebie, pokładał całą swą pychę w powodzeniu kraju, był więc tyle żalowanym po zgonie, ile szacowanym za życia. Zszedł z tego świata pełen dobrej sławy, niosąc z sobą do grobu szacunek i powszechną ziomek miłość.

Kronika tygodniowa.

Bociany już odleciały, a jaskółki odlatują. Wróźbiarze nasi wyciągają z tego pospiesznego ich oddalania się wczesnego zimna przepowiednię; ale tyleśmy się już razy na tych przepowiedniach zawiedli, i toniemy nie tylko na przepowiedniach z lotu ptaków wyciągniętych, że niebardzo skłonni jesteśmy do uwierzenia w wróżby. A zresztą jakże tu wierzyć nie tylko w wróżby, ale w wyrachowania, kiedy od pewnego czasu w najważniejszych nawet wypadkach los dziwne płata niespodzianki, o których się nawet ani śniło filozofom społecznym? I tak: Włochy zaczynają powoli utracać zamiłowanie do katarynek i melodikonów, w Ameryce odkryto jakieś nieznane kraje, gdzie są rzeźby, mozaiki, gdzie nawet, jak słyszeliśmy, znalezione zardzewiałe szkielety przedwiecznych krynolin; stróże w Warszawie od pewnego czasu zaczynają zamiatać trotuary przed domami; ogródki muzyczne i orkiestry niemieckie utraciły w bieżącym lecie trochę ze swojego uroku; emetyk w medycynie zaczyna wychodzić z użycia; Japonia została otwartą dla handlu europejskiego; jedna z gazet niemieckich odezwała się z pochwałą dla Polaków, twierdząc że to dobrzy ludzie, trochę zbyt wiele obmawiani i okazujący nawet w pewnych rzeczach niejake zdolności, a pani Wagner nie zrobiła tak wielkiego wrażenia, jakby sądzić wypadało po europejskim rozgłosie tej znakomitej artystki. I cóż powiecie? Nawet turyści i turystki nasze zaczynają powoli ściągać z zagranicy, a żalą się że towary tam podrożały. To przechodzi wszelką miarę. Niektóre damy pojechały tam wyprawę robić dla córek, i pokazuje się że to niewielka oszczędność. Wszystkiemu winny te europejskie giełdy, które nigdy spokojnie nie mogą ustać, na miejscu i falują jak morza za lada wiadomością. Za giełdami idą handle, a najbardziej na tym stratni ci co kupować do handłów przychodzą. Naturalnie że większość takich kupujących z Polaków i Polek się składa. Sam słyszałem damy które się zarzekały, że nic już za granicą kupować nie będą. I któżby pomyślał, że takie barbarzyństwo u nas się zagnieżdzi? Pieniądze zostaną w kraju, — gwałtu! i cóż my będziemy z temi pieniędzmi robić? To czysty kłopot tylko, zwłaszcza że już nawet bankom zagranicznym wierzyć nie można, o czém dowo-

dnie przekonali się ci, którzy podczas ostatniego przesilenia potracili na nich ogromne summy. Na Boga! wstrzymajcie ten zapęd fanatyzmu krajowego, bo jak się zamkniecie w złém, to gotowicie zacząć kupować i książki, a nawet o zgrozo! i obrazy z wystawy krajowej artystów. I już wtenczas złe będzie bez lekarstwa, zniknie ogłada i popęd do kosmopolityzmu, ty le nam dobrego przynoszący. O ludzie! o narodzie! Co czynisz? ubi vadis? quandocumque, o Catilina!...

I mógłbym długo jeszcze prawić wam w ten sposób; ale mi pilno podzielić się z wami pocieszającą dla mnie wiadomością. Odkąd w Tygodniku Ilustrowanym wyszedł bardzo podobny konterfekt murów dawnego pałacu biskupów krakowskich, odtąd mnóstwo osób zwidza ten starożytny zamek, osób które dawniej aniby pomyślały o nim, które może nie wiedziały że istnieje na świecie. A zwidzają go z Tygodnikiem Ilustrowanym w ręku, dla skontrolowania naszego rysownika i drzeworytnika, drżących tu z przerażenia na wieść o tak niespodziewanym doraźnym sądzie. Bóg z nimi. Jeżeli przypadkiem opuścili jaką cegłę, albo pomniejszyli okno, będzie to, będzie im! Ale trzeba im wybaczyć, o łaskawa i miłościwa publiczności zwidzająca zamek kielecki, robili oni co mogli, a uczynili w każdym razie dobrze, bo przyczynili się do poszanowania starych krajowych pamiątek i nadal przyrzekają tóż samo czynić. Więc nie skarżcie się, jak to czasami w listach do redakcyi bywa wyrażanem, że Tygodnik Ilustrowany zbyt wiele wam murów daje. Do każdego z tych murów przywiązane jest znaczenie wielkiej wagi; one nie zmieniły się tak jak ludzie, a wołały runąć w gruzy, aniżeli przypatrywać się kusym fraczkom naszym, francuzkiemu wzięciu się, angielskiemu szykowi i niemieckim ogródkom. I dziwno im musi być w ich osamotnieniu, że my tak obojętni jesteśmy na te kamienne litery przeszłości wypisane na naszej ziemi, że nawet wyrzucamy Tygodnikowi zajmowanie się nimi. A tam jednak:

Codziennie nocą z białych chmur powodzi
Tulaczy księżyc powoli wychodzi,
I gwiazdy tkane w djamentowe wzory
Ognistym blaskiem iskrzą się dokoła ...
Codziennie nocą szumią głuche bory,
I starych zamków poświęcane czoła,
Niby pamiątki po zagładzie świata,
Gwarzą... i dawne wspominają lata.

No ale dość o starych zamczyskach, bo wiem że czytelnicy Tygodnika czekają odemnie innych nowin, a jeżeli melancholią czasami lubią, to na krótko. A owóż jeszcze jedna nowina nawpół smutna, nawpół wesoła, jak ją kto zechce zrozumieć, a zajmująca bardzo, przynajmniej dla mnie com ją słyszał opowiadaną. Nie wiem jak się to wyda w opisie.

Jeden z tutejszych literatów, syn dawnego wojskowego polskiego, otrzymał w tych dniach wezwanie od sądu, żeby się stawił na oznaczony termin. Takie wezwanie jest zawsze trochę niepokojącym; z bijącym więc sercem literat nasz udał się w czasie właściwym do lokalu sprawiedliwości i... zgadnijcie co mu tam oświadczone, oto że ma złożyć dowody tożsamości, dla objęcia przypadającego mu spadku pieniężnego. To już przechodziło wszelką miarę prawdopodobieństwa! Spadek pieniężny i literat, dwie rzeczy tak nigdy razem z sobą niechozące, tak niezgodne jak ogień i woda, jak przedstawienie Halki z Ikiem zapieczętowanym, jak usposobienie pewnej części młodzieży naszej z zamiłowaniem do czytania, jak twarze Warszawianek naszych z brzydotą. (Pokłon wam o piękności!!)

Tak jest, spadek pieniężny! Literat nasz przekonał się o tēm z czarnego na białym, i jakkolwiek ogólna summa tego spadku nie zbliżała się wcale do Rotzydowskiej ani nawet Stieglitzowskiej fortuny, bo wynosiła w okrągłej liczbie złp. 300, zawsze to była sukcesya, ten wyraz tak mile brzmiący dla ucha wielu, tak rzadko przychodzący w porę ludziom z krwawej a niewdzięcznej żyjącym pracy. I zgadnijcie po kim był ten spadek. Oto po dawnym żołnierzu prostym byłego wojska polskiego, który broń na lemiusz zamieniwszy, kilkudziesięcioletnią ciężką pracą dorobił się tak wielkiej, jak na niego, summy i zapisał ją synowi najdroższemu ze swoich dowódców, z którym nawet niegdyś razem obaj jako prości żołnierze służyli. Jeden, jak to zwykła kolej rzeczy

ludzkich, mężstwem a zasługą, może też trochę i lepszymi warunkami położenia towarzyskiego, doczekał się wyższego stopnia, drugi pozostał do wzięcia dymissyi na skromnym stanowisku, jakie od czasu wejścia do służby zajmował; a żaden z nich, służąc gorliwie w swoim wyłącznym kółku działania, nie zrobił majątku; i stary żołnierz wiedział o tēm dobrze, że syn jego dowódcy w odmiennym zawodzie, ale również niewdzięcznym, również ciężkim, również najeżonym cierniami, pracować musi na zapewnienie sobie i rodzinie środków do życia. „Zapisuję mu ten legat, mówił on w testamencie, jako owoc długoletniej pracy i oszczędności mojej, a zapisuję mu ją jako człowiekowi, który nietylko nie poniżył nazwiska ojcowskiego, jak to u wielu obecnie się wydarza, ale podwyższył je jeszcze pocziwą pracą i zasługą, chociaż na innym zdobytą polu.“ Sumiennie ręczyć mogę, że ta pochwała w ostatniej woli umierającego wyrażona, miłszą była literatowi od wszelkich by najwięcej zieleniących się laurów, które tak hojną ręką nieraz pisma nasze rozsypują. Powinien on sobie ten testament schować jako najdroższą pamiątkę swojego życia i najcenniejszą nagrodę za trudy ku pożytkowi ogółu złożone.

Z wielkiej trwogi muszę wyprowadzić znaczną część publiczności tutejszej. Gazeta Codzienna przed pewnym czasem, mówiąc o fałszowaniu mléka i zaprawianiu go potażem i sodą, potępia oba te, jak tam je nazwać... materiały apteczne, twierdząc że są bezwarunkowo szkodliwe zdrowiu ludzkiemu. Przedewszystkiem z góry oświadczam, że potępiam wszelkie fałszerstwa, jako bezwarunkowo karygodne; ależ trzeba przyznać że autor wzmiankowanego artykułu zazbyt może daleko się posunął w swojej obawie. Jeszcze tam mniejsza o potaż, choć i ten nie jest tak dalece szkodliwym, ale wszak woda sodowa bardzo jest zdrową i ogólnie prawie w dzisiejszych czasach używaną. Wiem że tēm sprostowaniem może znowu narażam się na jaką ostrą polemikę, ale dla prawdy i sody warto jest wiele przecierpieć, a będę miał za to miłą sercu mojemu nagrodę we wdzięczności właścicieli aptek i handlów korzennych, którzy przynajmniej tym razem, nieplonną ciesząc się nadzieją, nie będą przeciwko unie.

Więc wspólnie walczy wrogów krwiożerczym żelazem,
A nie mogąc zwyciężyć, umierajmy razem.
Ale soda zwycięży, w tēm nadzieja nasza,
Wszakże ona najcięższą niestrawność zagasza,
Wszak z niej niejednen lekarz wzięcie swoje wykul,
Więc cóż ję dziennikarski zaszkołdzi artykuł?

Tēm wieszczęm uniesieniem natchnionego pióra zamykam mój paragraf o sodzie, a przechodząc od skutków do przyczyn, powiem wam parę słów o winie szampańskim, którego zbyt używanie nieraz leczenie się sodą spowodowało.

Wpadł mi w tych dniach pod rękę cennik jednego domu handlowego drezdeńskiego, wyrabiającego wino szampańskie. Dom ten ogłasza aż 19 gatunków szampana, które naturalnie wszystkie w komplecie będą się znajdowały, albo znajdują się już może po tutejszych handlach. Otóż zadałem sobie pytanie, jakim sposobem do dziewiętnastu gatunków w jednej fabryce wyrabiać się może, i przyszło mi na myśl, że to jest wszystko sztuka litografa fabrykującego etykiety, który czarodziejskim sposobem, od średniowiecznych magików pożyczonym, prostem przyklejaniem coraz to odmiennego papierka, jedno wino na drugie przerabia, gatunek i cenę ich oznacza. Jacy to mądrzy ludzie ci Niemcy!

Donoszą nam o mającym się otworzyć zgromadzeniu śpiewaków polskich, które cztery razy na tydzień będzie się dawało słyszeć za opłatą wnijscia złp. 1 od osoby. Jeżeli projekt ten dojdzie do skutku, będzie to bardzo pożądana nowość, i ręczymy za powodzenie temu zgromadzeniu, które nie wątpimy że pieniądze zebrane obróci na cel użyteczny. A zaoszczędziliśmy trochę tych pieniędzy, bo cyrk Weitzmana, widocznie goniąc ostatkami, aż do takich udał się środków, że dyrektor cyrku, na benefis swój rodziny, posyłał bilety do możniejszych mieszkańców tutejszych i ludzi pieniężnych, przez jedną z piękności cyrkowych, w strojne zdobną szaty, jakby powiedzieli ludzie chcący wszystko poetyzować. Ale missya niekoniecznie podobno się powiodła, i Hebe wróciła z niewielkim zapasem rublowej ambrozji, bo kapitaliści nasi po wię-

— Zaraz mi tu wasze idź i opanuj namioty wezyrowskie.

Miączyński dał znak: cały pułk z miejsca cwałem poskoczył. Nic mu się oprzeć nie mogło; co nie pierzchło, legło stratowane pod kopytem, obalone kopiją, zrąbane szablą.

Wielki wezyr, widząc straszną klęskę wojsk swoich, rozkazał jako ostatni ratunek, rozwinąć i podnieść wielką chorągiew Mahometa, otoczoną strażą najwaleczniejszych.

Ale dzielna hussarya nasza straż tę obala; chorąży, spadłszy z ubitego konia, sam poległ, a zdobyty drogocenny sztandar król posłał do Rzymu ojcu świętemu, gdzie zawieszony został na Watykanie. Ujrzawszy upadającą chorągiew swoją wezyr i popłoch w całym wojsku tureckim, zawołał synów do siebie, płakał jak dziecko. Potem rzekł do obecnego hana tatarskiego:

— Ty mnie ratuj, jeżeli możesz. — Ale han na to odpowiedział:

— Znamy my króla polskiego, nie damy mu rady i sami o sobie myśleć musimy, abyśmy ocalić mogli.

Wezyr, złamany klęską, nic nie odrzekłszy, dosiada rączego rumaka i spiesznie uchodzi. Król Sobieski postępuje z chorągiewami, które przy sobie zatrzymał: wre walka zacięta. „Bo mnie się przyszło (pisze Jan III) z wezyrem łać. Broniące się pułki janczarów w pień wycina i wchodzi w wielkie miasto namiotów, bo tak wyglądał turecki obóz.

Król w liście do żony, zaraz po odniesionym zwycięstwie pisanym, mówi, że same namioty wielkiego wezyra „tak obszerne, jako Warszawa albo Lwów w murach.“

Cała armia sprzymierzona, kiedy stanęła w obozie tureckim, zaledwo czwartą część namiotów zajęła.

Tymczasem Wiedeń zostawał w wielkim niebezpieczeństwie, gdyż pomimo strasnej klęski zadanej i ucieczki wielkiego wezyra, druga armia janczarów wciąż szturmowała do Wiednia. Król Sobieski, nie wiedząc o tem, a widząc że swobodnie uchodzą Turcy, gdy wycieczka z Wiednia mogła im drogę przeciąć, zawołał z gniewem: „Nie będę królem, jeżeli jutro nie każe Staremberga obwiesić w pół Wiednia, że nieprzyjaciel uchodzi, a mając 12,000 wojska on go nie przerysna.“

Dopiero z namiotów tureckich poznał powód prawdziwy, kiedy gęste zastępy janczarów zaczęły się cofać z pod Wiednia, dowiedziawszy się o klęsce swoich.

Dzień to był parny, słońce dopiekało do samego zachodu. Król stanął w zdobytym namiocie wielkiego wezyra, ale nie używał wywczasu, bo usiadłszy na swoim taborecie podróżnym, przesiedział tę noc całą. O północy niezwykły rozruch przebudził całe wojsko, które dosiadło koni: piechota stanęła w ordynku. Ktoś z naszych w kilku miejscach zapalił składy prochów tureckich. Wybuch straszny wstrząsł ziemią. Król sam pisze, że obraz ten „przedstawił dzień sądu ostatecznego.“ Na szczęście nikt nie był ani zabity, ani ranny.

Zdobyto łupy bogate: musiały być wysokiej wartości, kiedy Jan Sobieski pisze, że nie mogą być porównane ze zdobyczą pod Chocimem. Oprócz namiotów, wozów, koni, samych sajdków kilka, sadzonych rubinami i szafirami, oceniono na kilka tysięcy czerwonych złotych ówczesnych. Złotych szabel, kindżałów, sutych i kosztownych rzędów na konie moc nienaliczona, równie jak strzelb i pistoletów. Namiotów liczono do stu tysięcy, całą armią turecką przeszło 300,000. Sobieski, w liście pisanym téjże nocy w namiotach wezyrskich do żony, uradowany tak się wyraża: „Nie rzekniesz mnie tak, moja duszo, jako wiesz tatarskie żony mawiać zwykły mężom bez zdobyczy powracającym, „żeś ty nie junak, kiedyś się bez zdobyczy powrócił, bo ten co zdobywa, wprzodzie być musi.“

Za opanowaniem obozu tureckiego, znaleziono wielu brańców chrześcijańskich, szczególnie kobiet. Barbarzyńcy, uciekając, mordowali bezbronnych niewolników.

„Ludzi siła porzucili (pisze król), ale zabijali kogo tylko mogli. Siła bardzo zabitych leży białychgłów, ale i siła rannych, które żyć mogą. Wczoraj widziałem dzieciątko jedno we trzech leciech, chłopczyka bardzo najmilejszego, któremu zdrajca przeciął gębę szkaradnie i głowę.“

Dnia 13 września wjechał król do Wiednia, za-

proszony od Staremberga, nie bramą, która była zawałoną, ale wycieczką ciemną, którą oświetlono pochodniami. Wysłuchał mszy świętej i *Te Deum laudamus*. Lud, wojsko załogi, biegło całując króla Sobieskiego w ręce i nogi, zwał go zbawicielem jedynym. Miasto dłużej nad dni kilka nie mogące się bronić, przedstawiało obraz smutnego zniszczenia: pałac cesarski prawie w gruzach, mury zeszczerbione od kul i w wielu miejscach zwałone, dużo domów zruinowanych.

Król, zjadłszy obiad u komendanta miasta, opuścił Wiedeń; dostrzegł jednakże z boleścią, że ludowi zabroniono wznosić okrzyki na cześć jego. Mimo to odprowadzał bohatera do bramy, w milczeniu wznosząc ręce do góry.

Jakie dowody wdzięczności odebrał sam i rycerstwo polskie, najlepiej opisał w liście *dziesiątym*, w zbiorze wydanym przez Edwarda Raczyńskiego 1824 r. Do niego odsyłamy czytelników naszych.

Dwa przysłowia pozostały w naszym języku po tej wyprawie króla Jana Sobieskiego, pierwsze: *z kordem a boso*, bo chorągwie sławnych hussarzy i pancernych, utraciwszy dzielne konie, dla braku paszy, pieszo i boso wrócili; drugie: *to tyle warto co bić się za Wiedeń*.

Żadna pieśń współczesna, ani ludowa, ani szlachecka, nie zachowała w pamięci tak potężnego zwycięstwa. Po strasznym pogromie Turków pod Chocimem, dziesięć lat wcześniej, kiedy Jan Sobieski był tylko hetmanem, pieśń o tym krwawym a sławnym boju zabrzmiała po całym obszarze starożytnej Polski, we wszystkich dworach i dworach szlachty, — we wszystkich obozach i leżach naszego rycerstwa. Pieśń ta uwiecznia pamięć wielkiego bohatera, a chociaż większe, głośniejsze odnosi zwycięstwo pod Wiedniem, nikt z rycerzy-poetów, których to bywało zadaniem, nie złożył pieśni na cześć wrześnieowego tryumfu, któremu cała Europa wraz z potężnym Rzymem poklasnęła.

Pomiędzy ludem Słowaków w Węgrzech, dochowała się tylko stara pieśń ludowa, w której widzimy króla Jana, jak z poza białej góry wyjeżdża na cisywym koniu ze złotymi lejcami naprzeciw Turczy. K. Wł. W.

Z powodu życiorysu Edmunda Wasilewskiego, zamieszczonego w Nrze 47 naszego Tygodnika, otrzymaliśmy z Krakowa poniższy artykuł, mogący posłużyć za dopełnienie charakterystyki zbyt wcześnie zgasłego poety, wraz z wierszem jego nigdzie dotąd nie drukowanym, który, choć nie należy do najpiękniejszych Wasilewskiego, ma jednak dla nas i dla ogółu wartość pamiątkową.

Edmund Wasilewski zasłużył sobie niezawodnie na tyle pamięci w narodzie, a szczególnie u Krakowian, że go tu pomiędzy imionami takimi jak ksiądz Antoniewicz, Czeczot, Ujejski i t. p., z czystym sumieniem umieścić możemy. Nie był on geniuszem-poetą, któregoby żadne przeciwności w drodze zawodu nie przełamały, któryby własną potęgą stworzył sobie to wszystko, czego człowiekowi potrzeba, aby się oprzeć codziennym walkom życia; ale był poetą serca, bardziej zamkniętym w sobie, niż okazującym się na zewnątrz, bolejącym więcej i śmiejącym się rozpaczą, niż silnym wiarą i prorocstwem. Wyrósł on jako kwiat krakowskich błon. Życie jego orzeźwiła rosa łez krakowskiej dziatwy, duszę nastroił dźwięk wawelskich dzwonów; serce rozdarły mu pieśni płaczących brzoź, i szum nadwiślańskich topoli, i szmer srebrzystych fal Wisły, a hartu dodawały mu kamienne posągi Kmity i podobnych jemu stróżów świętości grobowych, królewskich, rycerskich.

On pacholeciem wsłuchał się w hajnał maryacki, wspinał się na szczyt wieżycy Maryi i z tamtąd wzrokiem ognistej swojej duszy obaczył naokoło świat krakowskiej ziemi, piękny świat, rzewny i smętny, jak piosnka jego mieszkańców. I wsłuchał się z tamtąd w dalekie echo fajarki pastuszka, co dumny rodem swoim z Łobzowa, koło królewskiego zamku przedrzeźniał słowiki i skowronki.

I ujrzał trzy śliczne pagórki, trzy święte mogiły, trzy wielkie pomniki nasze: Krakusa, Wandy, Kościuszki. I ujrzawszy to wszystko... uczuł świat ten cały w sobie, pokochał go jak siebie, jak duszę swą

i poprzysiągł złożyć mu ofiarę ze szczęścia swego, ze spokoju i z życia.

Więc i niedziwota że w pieśniach jego słycać tak głośno grobowe jęki krakowskich piosenek; czasem tylko ten wianuszek łez i tęsknoty przeplecie kwiat swobody, kwiat silnej i młodzieńczej wiary, spokoju, nadziei: ale to tylko czasem, bo zaraz lutnia drżąca pod jego ręką wydaje z siebie to, co pomimo woli, za rozkazem natchnienia, nasz Edmund grał w swojej duszy.

Wrzało i burzyło się wszystko w nim. Człowiek, słabe naczynie na taki wielki ogień uczuć, roztraskać się musiał, i zawczasie, o! bardzo zawczasie... zamknąć się w grobie przed ziemią.

Krytyczno-literackim językiem mówiąc o jego talentach, nazwać go trzeba lirycznym narodowym. To co czuł, a wiele bardzo czuć umiał, to wszystko tętniło w sercu i we krwi jego narodu. Kiedy nawet o sobie zaśpiewał, to pieśń jego nie brzmiała interesem egoizmu, bo w niej nie Edmund Wasilewski, ale on jako Polak, jako Krakowianin się odzwierciedlał. Słusznie Br. Trentowski wyraził swój żal po stracie Edmunda Wasilewskiego, mówiąc: „Szkoda go, wielka szkoda! Byłby on zaiste prawdziwie narodowym wieszczem mógł zostać.“ Piękne i serdeczne słowa wstępu do wydania jego poezji p. Aleksandra Szu... zgodne są z naszym wspomnieniem tego nieodżałowanego autora „Krakowiaków.“

Edmund Wasilewski niewiele napisał. Tomik jego poezji wydanych w Krakowie po r. 1846, to jest po roku jego śmierci, zawiera niemal wszystkie jego utwory. Pierwszeństwo między nimi ma poemat w trzech częściach p. t. *Katedra na Wawelu*. Natchnienie, które poecie to podyktowało, co w tym utworze się zawiera, dowodzi ogromnego talentu. Nikt mu go zaprzeczyć nie zdoła, i nikt nie odmówi nam najserdeczniejszego współczucia, gdy tu jeszcze raz żal nasz wypowiemy, żal który się rodzi w sercu naszym nad tak wczesnym skonem młodego narodowego pieśniarza. Jego krakowiaki tém, że się w narodzie przyjęły prawie tak samo, jak niezagasłe nigdy religijne pieśni Karpińskiego, dowodzą same przez się swojej wartości i stawiają nowe świadectwo o prawdzie naszego twierdzenia, którym Edmunda Wasilewskiego postawiliśmy w liczbie pierwszorzędnych poetów.

Z drobnych jego wierszyków wiele przesłicznych wianków uwiłby można na pomnik ich autorowi, na grobowiec, którego niestety nie ma...

Şczęściem, z którego się dzisiaj dopiero prawdziwie cieszyć, gdy mi się niemi wolno z ogółem podzielić, dostał się w moje ręce jeden autograf Edmunda Wasilewskiego, napisany do Jana Auera w r. 1883 dnia 19 listopada. Jan Auer był to, jak się pokazuje, uczeń medycyny i przyjaciel poety, do niego więc pisze te słowa.

Do Jana Au....

przyszłego doktora medycyny.

...Teraz na te dwie drogi spojrzymy: ta jedna Piękna, jako sierota w ranku niewinności,
Droga poświęcenia się dla dobra ludzkości,

Jest drogą twego zawodu.

Jak wielkim ten, kto na niej serca ludzi zjedna
I przyuczy się koić lzy jeszcze za młodu!

Ta droga pośród marzeń samotnych prowadzi,
Piękność ma krótkotrwałą, jak miesięczne róże,
Droga zawiedzonego serca w swym wyborze

Jest drogą mego zawodu.

Jak wielkim ten, kto na niej rozumu się radzi
I przełamać namiętność potrafi za młodu!

Wkrótce one na różne strony rozbiegnięte,
Jako z jednego drzewa na wody strącone
I różnym biegiem prądu liście pochwycone,
Znajdą się w końcu zawodu?

Czyż one nie zapomną gdzie były poczęte?
Nie zapomną, że razem płynęły za młodu?

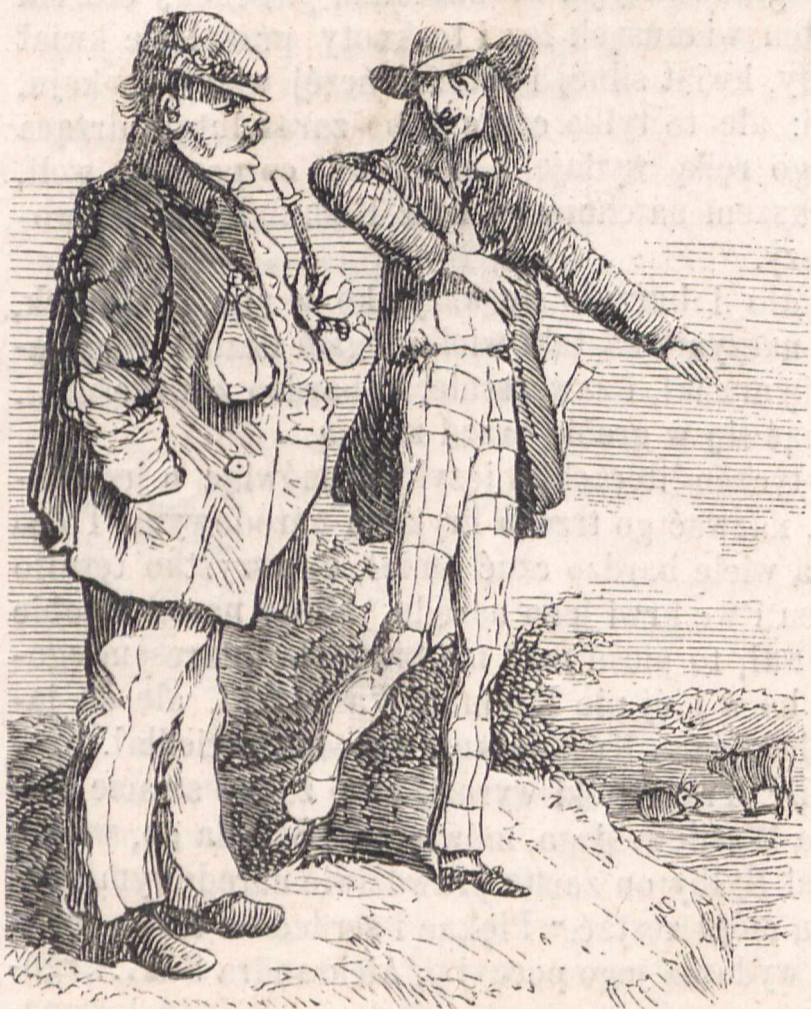
Uściśnijmy się jeszcze! z tego uściśnienia
Może pamięć zakwitnie na niwie przyszłości,
I westchnienie do zbiegłych, lubych dni młodości
Spłynie w początek zawodu!

A na długo dla duszy z pod przeszłości cienia
Rozwinie obraz życia spólnego za młodu!

Przećuł poeta przyszłość smutną swoją. Przyszłości jego droga, była w rzeczy samej *drogą zawiedzonego w swym wyborze serca*.

GOSPODARZ-POETA.

(Według pomysłu L. Kunickiego, rysował F. Kostrzewski.)



Nr. 1.

Poeta. Patrz sąsiedzie, co za cudny widok! Umyślnie na tej łące każę paść bydelko i po kilka godzin nieraz poję się tym widokiem. ...
Sąsiad. A jabym ją wolał skosić i mieć kilka stogów dobrego siana.



Nr. 2.

Karbowy. Prozę wielmożnego pana, już wywieźliśma dwadzieścia fur gnoju.
Poeta. Masz tobie! i tak obrzydliwą prozą znów mi natchnienie przerywa.



Nr. 3.

U poety ekonom zawsze prawie podchmielony i na wpół senny; poeta ma go za człowieka marzącego, zatopionego w sobie i umiającego więcej aniżeli się wydaje.



Nr. 4.

Poeta cieszy się że w jego życie tyle kąkolu, bławatków, groszku i różnobarwnego kwiecica.



Nr. 5.

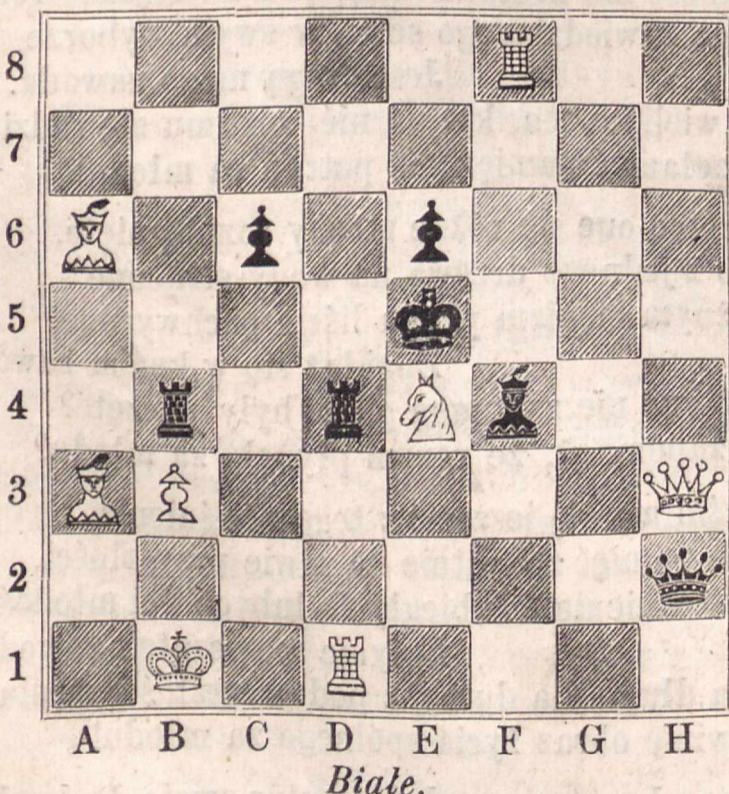
Niemasz jak stare, walące się chałupy. Ile w nich uroku, ile malowniczości!
 (Dokończenie nast.)

SZACHY.

ZADANIE XXXVIII.

Białe zaczynają i dają matę za czwartym posunięciem.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Ner 37.

Białe.

Czarne.

- | | |
|-----------------------|---------------------|
| 1) A 5 — A 8 † . . . | 1) E 7 — A 8 biorą. |
| 2) D 3 — D 8 † . . . | 2) E 8 — D 8 biorą. |
| 3) D 2 — A 5 † . . . | 3) D 8 — E 8. |
| 4) D 1 — D 8 † i mat. | |

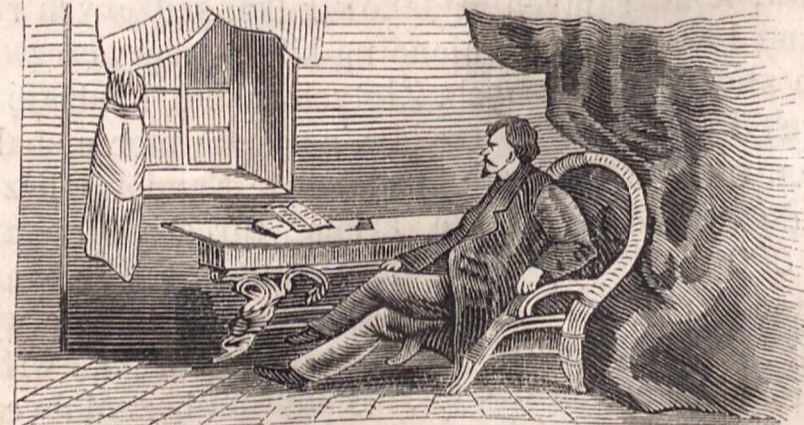
Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 50.

Zamek na którym bywało wesele, smutek ciężki pokrywa, na wałach dzikie ziele porasta, koło wrót pies wyje, nad zgliszczami ptak ponuro śpięwa, naokoło pusta okolica. O! na taki widok żal serce uciska i łza z oka cieczę.

(Wolny przekład z Child Harolda)

REBUS.

PRÓCZ MNIE NIEMA TU NIKOGO WIĘCEJ



PRÓCZ MNIE NIEMA TU NIKOGO WIĘCEJ

